

Życie rani,
przecieka przez palce,
a ja krwawię.

Życie czasem smuci,
a ja jestem zmęczony.

Uciekam, poddaję się.

Życie to suka,
a ja jestem...

POKONANY

ALICJA SKIRGAJŁŁO

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/pokone>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-7542-0

Copyright © Helion SA 2021

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Prolog

Nie chcę umrzeć w samotności, choć przez całe życie byłem sam, zdany na siebie. Zdany na łaskę i niełaskę Pana... A czy w ogóle On istnieje? Nie sędzę.

Nie chcę więcej budzić się sam, choć przez całe życie tak było. Nie chcę być w cieniu, zagubiony, balansując na krawędzi. Cóż to życie jest warte, poza kilkoma krótkimi, nic nieznaczącymi chwilami?

Od zawsze gówno wart. Gówniane życie, gówniana śmierć... Od zawsze inny, wycofany, odizolowany, przekreślony,znaczony i potępiony. Odkąd pamiętam, byłem uważany za śmiecia, niewidzialnego śmiecia, ducha, zjawę i coś najgorszego. Coś, czego wszyscy unikali, bali się...

Czy się tym przejmowałem? Czy bolały mnie te wszystkie zawistne, wrogie spojrzenia, jakie rzucano w moim kierunku? Czy przejmowałem się zdaniem innych? Czy brałem to do siebie, kiedy wyzywano mnie od debili, wyrzutków i największych zakał świata?

Nie!

Tak naprawdę miałem to w dupie. Od zawsze miałem w dupie zdanie innych na mój temat. Nie obchodziło mnie nic i nikt. Od zawsze byłem inny. Powiedzmy sobie szczerze — popierdolony! Nawet moja matka tak uważała, bo zostawiła mnie zaraz po porodzie jak śmiecia przy śmietniku, skazując na śmierć. Wyruchana przez jakiegoś alfonsa, zwykła dziwka.

Tak więc: matka dziwka i narkomanka, ojciec nieznany, a ja? Dobre pytanie...

Przyszedłem na świat na jednej z ulic Chicago w stanie Michigan, a potem mało na niej nie umarłem. Skąd to wiem?

Trafiłem do domu dziecka (nie oszukujmy się — to była najgorsza z placówek, do których mogłem wtedy trafić) i mając siedem lat, usłyszałem z luźnej rozmowy prowadzonej przez opiekunki, że jakiś

bezdolny człowiek znalazł mnie obok śmietnika i zostawił pod drzwiami ich placówki. Rozpoczęły się wszystkie te durne procedury poszukiwania matki, a kiedy im się to udało... leżała martwa w jeziorze. O ojcu niczego się nie dowiedziałem, ale bardzo możliwe, że był nim jeden z jej stałych klientów.

Jako ośmioletnie dziecko trafiłem do domu zastępczego, do ogromnej rodziny. Mieli chyba z dziesiątkę dzieciaków i żadne nie było ich. Nie podobało mi się tam, bo wykorzystywali mnie do najcięższych prac, a czasem nawet do zebrania. Moi „rodzice” — a raczej opiekunowie — wywozili dzieciaki do innych miast i kazali im zaczepiać ludzi i prosić o pieniądze. Często też zmuszali mnie, bym kraść w osiedlowych sklepach. Nauczyli mnie złodziejstwa, tego, jak manipulować innymi, wzbudzać w nich litość. Opanowałem to do perfekcji.

Żyłem wśród tylu dzieciaków, a czułem się samotny. Byłem odludkiem, zamkniętym w swoim świecie. Zawsze interesowały mnie rzeczy zupełnie inne niż te, które interesowały dzieci w moim wieku. W szkole uczyłem się dobrze i szybko zapamiętywałem cały materiał. Nie musiałem kuć przed sprawdzianami, bo wszystko pamiętałem z lekcji. Mieszkałem w pokoju z czterema moimi „braćmi”, byłem z nich najmłodszy. Najmłodszy i zawsze niewidzialny. Siedziałem sobie w kąciaku i kiedy miałem czas wolny od drobnych kradzieży i zebrania, czytałem książki, gazety, czasopisma, co tylko wpadło mi w rękę.

Bardzo zainteresowały mnie komputery i wszystko, co się z nimi wiązało. Pochłaniałem każdą ilość informacji na ten temat i obiecałem sobie, że kiedyś będę miał własny komputer. Odkładałem nawet na ten cel każdy lewy grosz, jaki udało mi się schować przed resztą szarańczy.

W szkole odludek, w domu odludek, nieakceptowany ani przez opiekunów, ani przez młodsze i starsze „rodzeństwo”. Nigdy nikomu się nie skarżyłem, nie prosiłem o poradę, o współczucie czy litość. Nienawidziłem tego uczucia, kiedy ktoś się nade mną litował. Na ulicy musiałem żebrać, udawać i grać, lecz kiedy wracałem do „domu”, ponownie zamykałem się na wszystkich. Cichy, małowówny, mrukliwy, nieokrzesany, nietowarzystki, a czasem opryskliwy i chamski. Taki od zawsze byłem i tak mi zostało.

Mój spokój w domu państwa Millerów z gromadką dzieciaków nie trwał zbyt długo, bo kiedy miałem dziesięć lat, wpadła do nas policja i aresztowała święte i przykładne małżeństwo oraz kilku moich pełno-

letnich „braci”. Okazało się, że mieli więcej za uszami, niż się mogło wydawać. Wylądowałem z powrotem w bidulu, ale nie na długo. Trafiłem do domu porządnego małżeństwa i myślałem, że w końcu moje życie zmieni się na lepsze.

Co prawda się zmieniło, lecz nie mogłem tego nazwać lepszym życiem. To, co przeżyłem w tamtym domu, śni mi się do dziś, a ja przez to czuję się jak totalne gówno.

Kendall, mój kolejny opiekun, był szanowanym lekarzem i znaną osobistością. Z żoną od wielu lat starali się o dziecko, lecz bezskutecznie. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, wiem, że ich dziecko miałoby w życiu przepierdalone, chyba że zrobiłoby to, co zrobiłem ja...

Zabiłem gnoja, zabiłem go. Tak zwyczajnie, bez mrugnnięcia okiem.

Miałem piętnaście lat i jak co dzień po szkole przyjeżdżał po mnie „tatus”. Mieszkaliśmy na odludziu w pięknym, ogromnym domu z basenem i wszelkimi luksusami. Z zewnątrz wydawać się mogło: normalna bogata rodzina, zero podejrzeń, zero złych skojarzeń. Na pozór.

— Przyjechałem po ciebie, synku — powiedział przez otwartą szybę w samochodzie, kiedy stałem przed szkołą na parkingu. Nie chciałem wsiadać do samochodu, nie chciałem przebywać z nim sam na sam, a tym bardziej nie chciałem patrzeć na jego parszywą gębę, która śniła mi się każdej nocy. — No? Na co czekasz? Wsiadaj... Mama ma dziś urodziny, jedziemy po prezent — oznajmił z lekkim uśmiechem na ustach.

Skrzywiłem się na jego słowa i od razu przypomniały mi się poprzednie lata, kiedy to „mama” obchodziła urodziny, a my z „tatą” kupowaliśmy jej prezent.

Hmm... prezent był, co prawda, zawsze w dechę, lecz cała reszta imprezy kończyła się źle. Tamten wieczór tak właśnie się skończył. Totalnie tragicznie. To była klęska, choć i wybawienie dla mnie i dla kobiety, która traktowała mnie jak syna.

— Synek! Nie mamy czasu, no dawaj! — Zniecierpliwiony pochylił się do drzwi i łapiąc za srebrną klamkę, otworzył mi je. Wsiadłem do auta, plecak rzuciłem na tylne siedzenie, szybko zapiąłem pasy. Nawet na niego nie patrzyłem. Obrzydzał mnie jego widok, głos doprowadzał do szału, a zapach powodował odruch wymiotny.

— Jak było w szkole? — zapytał, jakby go to interesowało. Wzruszyłem tylko ramionami, patrząc tępym wzrokiem na drogę. — Ostatnio coś małowówny jesteś — stwierdził, po czym jego dłoń wylądowała

na moim kolanie. Wzdrygnąłem się na ten zły dotyk, straciłem jego rękę, a ciałem przylgnąłem do bocznych drzwi. Nie skomentował mojego zachowania, jednak cmoknął, a moje serce mocniej zabiło.

— Masz pomysł na prezent dla mamy? — zapytał, kiedy podjechaliśmy pod ogromne centrum handlowe, gdzie zakupy robili sami nudni, pieprzeni bogacze. Takie same skurwysyny jak Kendall. Spojrzałem na jego twarz przez ułamek sekundy, lecz szybko odwróciłem wzrok i wysiadłem z samochodu, trzaskając drzwiami.

— Co powiesz na złoty zegarek wysadzany diamentami? — Stary chuj drażył temat, a ja miałem go serdecznie dosyć.

— Wszystko jedno, co jej kupisz, i tak będzie wniebowzięta, dopóki nie wychlejesz! — rzuciłem ostrym tonem.

— Jesteś dla mnie surowy! — Zatrzymał mnie i pociągnął za rękaw. Zignorowałem go i wszedłem w głąb sklepu, gdzie kręciło się mnóstwo ludzi.

Kendall nie był złym facetem, dopóki nie wypił, a pił często. Jak twierdził: miał odpowiedzialną i stresującą posadę, więc po pracy czasami musiał odreagować. Nie lubiłem, kiedy pił, bo zawsze, gdy sięgał po alkohol, wychodziła z niego bestia. Następnego dnia oczywiście niczego nie pamiętał, a kiedy już nie dało się ukryć śladów przemocy, skruszony zawsze przychodził z górą kasy albo kosztownymi prezentami, myśląc, że drogimi gadżetami i zwykłym „przepraszam” wszystko załatwi.

Ubierałem się w markowe drogie szmaty, nosiłem drogi zegarek na nadgarstku, a na szyi złoty gruby łańcuch. Ale tak naprawdę nie potrzebowałem tego. Potrzebowałem normalności i spokoju, choć moje życie nigdy normalne nie było, a co dopiero mówić o spokoju.

— Zobacz! — Zatrzymał mnie, palcem wskazując na grupkę dziewczyn stojących niedaleko ruchomych schodów. Spojrzałem w tamtym kierunku, dostrzegając jakąś znajomą twarz. Tak mi się wydawało, choć pewien nie byłem. — Znasz je? — zapytał, trącając mnie ramieniem w bok.

Wzruszyłem ramionami, a następnie obróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę sklepu jubilerskiego. Chciałem jak najszybciej opuścić ten moloch. Nie lubiłem tłumów, a obecność większej grupy ludzi paraliżowała mnie. Lubiałem swoje towarzystwo, spokój, samotność — tak czułem się najlepiej. Kendall jednak nie dawał za wygraną i ciągnął mnie w kierunku dziewcząt, które uśmiechały się do nas.

Westchnąłem głośno, kiedy usłyszałem ten irytujący piskliwy głosik puste, zmanierowanej lalki. To była ona... Chodziłem z nią na angielski. Zwykła piętnastoletnia rozkapryszona, bogata i nadęta dziwka, która szukała zawsze wrażeń. Pchała się każdemu na chuja i w tak młodym wieku zupełnie nie szanowała swojego ciała. Do mnie też startowała, a mój chłód wobec niej i obojętność jeszcze bardziej ją nakrecały.

— Dzień dobry, panie Jones! — krzyknęła głośno, na co ten stary cap się uśmiechnął. Pociągnął mnie bliżej siebie, nonszalancko poprawiając swój jedwabny szal, który zwykł nosić.

— Dzień dobry... — Nawet nie pamiętał jej imienia.

— Loren — dokończyła za niego, wyciągając w jego kierunku dłoń. Jednak patrzyła na mnie, a ja momentalnie opuściłem wzrok na swoje czarne sztyblety. Przeczesałem dłonią ciemne włosy i odchrząknąłem.

— Tak, tak... Loren. Powiedz mi, co u mamy? — zapytał dziewczyny.

Pustak zaświergotał wesoło i odpowiedział.

— Świetnie się czuje i wygląda już o niebo lepiej. Panie doktorze, pan jest cudowny i taki profesjonalny... — zapiszczała.

Uniosłem wzrok i po raz pierwszy miałem szansę dokładnie się jej przyjrzeć. Była ładna, nie powiem. Drobną blondynką o niebieskich oczach i dość długich nogach. Miała na sobie krótką spódniczkę ledwie zakrywającą jej dupę, bluzkę... chyba w kolorze bordo. Nie wiem, nigdy w tym nie byłem dobry, gdyż w swojej garderobie uznawałem tylko jeden kolor — czarny. W jej pępku świecił się kolczyk, a na stopach miała wysokie buty. Na dziecięcej twarzy tonę makijażu i sztuczne, długie rzęsy. Wyglądała jak młoda dziwka szukająca sponsora. Nie zdążyłem zarejestrować momentu, kiedy uwiesiła się mi na ramieniu i patrząc na Kendalla, powiedziała:

— Jak będę nieco starsza, to zgłoszę się do pana na powiększenie biustu i chciałabym jeszcze... — Wylączyłem się, wylączyłem i odizolowałem. Byłem tam ciałem, jednak duchem daleko, daleko... w swoim świecie. Wirtualnym świecie, elektronicznej maszynie pełnej tajemnic, globalnym oku na świat pełen nieograniczonych możliwości...

Stałem jak ten kołek i pozwalałem, by pusta laska uwieszała się na moim ramieniu, a jej natrętne łapska dobierały się do mojego zadka. Powróciłem na ziemię w momencie, kiedy usłyszałem swoje imię.

— Czy Shade mógłby w przyszłym tygodniu przyjść do mnie na urodziny? Będzie cała szkoła, a tatuś obiecał mi...

Przerwałem jej głupie, puste i denne gadanie, doprowadzające mnie do wkurwienia, zwracając się do „ojca”:

— Możemy już iść po ten prezent dla „mamy”? — Słowo „mama” wychodziło z mojego gardła z wielkim bólem. Carren była wspaniałą kobietą i zawsze o mnie dbała, broniła mnie, a przede wszystkim kochała jak własne dziecko. Nieraz dostawała przeze mnie, bo nie odrobiłem zadania domowego, a „tatuś” wracał z kliniki już na kompletnej bani i wywracał cały dom do góry nogami. Nieraz chodziła poobijana, posiniaczona, smutna i zmęczona. Z mojego powodu. Kiedy Kendall wpadał w szal, nie było zmiłuj się, zapowiadało się prawdziwe piekło. Zarówno dla mnie, jak i dla niej. Szkoda mi jej było i w pewien sposób chyba ją kochałem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

— No tak, tak, prezent. — Zaśmiał się sztucznie, jak to on potrafił najlepiej, i zwrócił się do młodocianej lafiryndy przyczepionej do mojego boku:

— Musimy już uciekać, ale oczywiście... — Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, po czym ponownie wzrokiem wrócił do dziewczyny, kończąc swoją wypowiedź. — Shade z przyjemnością przyjdzie na twoje urodziny. Pozdrów rodziców i przypomnij mamie o wizycie kontrolnej!

Wyszarpałem się z jej mocnego uścisku, zmierzyłem „ojca” pogardliwym spojrzeniem, a następnie bez słowa skierowałem się do tego cholernego sklepu, by kupić jebany zegarek i móc wrócić do domu. Za plecami słyszałem jeszcze kurewski głosik:

— Shade... liczę na ciebie, Kochany!

Pokręciłem tylko głową. Ależ te laski potrafią być puste i tępe. Kiedy przestąpiłem próg sklepu, poczułem na ramieniu mocne szarpnięcie i palce wbijające mi się w ciało. Napiąłem wszystkie mięśnie i przestraszony przyspieszyłem kroku, by jak najszybciej znaleźć się przy ladzie sklepowej.

Wiedziałem, że jest zły, a to nie wróżyło nic dobrego. Zwykle gniew dopadał go pod wpływem, nigdy na trzeźwo.

— Jak ty się zachowujesz, smarku?! — warknął mi do ucha, lecz kiedy dostrzegł na sobie wzrok młodej ekspedientki, szybko zmienił ton głosu. — Porozmawiamy o tym w domu... — dodał już znacznie łagodniej, lecz jego palce nadal mocno wbijały się w mój bark.

Kupiliśmy pierwszy lepszy zegarek, bo i ja, i on straciliśmy ochotę na wspólne zakupy. Wkrótce wyszliśmy z centrum handlowego, prosto

do samochodu. Pamiętam to, jak uderzył mnie w twarz, kiedy tylko wsiadł do auta. Moja głowa obita się o szybę, a na policzku poczułem mocne pieczenie.

— Ty niewdzięczny szczyłu! — wrzasnął.

Z ust wydostawała mu się gęsta ślina, a jego ciało trzęsło się jak oszalałe. Wiedziałem, że w domu czeka mnie piekło, wiedziałem, że będzie źle, wiedziałem, że znowu mi to zrobi.

Od czterech lat mnie bił, poniewierał mną, wyzywał, potrafił zezasmacić... Molestował, a po jakimś czasie zaczął wykorzystywać seksualnie. Czułem się nikim, czułem się jak zero i bałem się... bałem każdego dnia spędzonego w jego towarzystwie. Kiedy wstawałem jak co dzień do szkoły, schodziłem na śniadanie przyszykowane przez moją „matkę”, zastanawiałem się, w jakim humorze będzie mój oprawca. Tak, oprawca, inaczej go nie umiałem nazwać.

Nie mogłem patrzeć, jak bił i poniewierał Carren za to, że nie była w stanie dać mu dziecka. Nie mogłem już słuchać, jak ją wyzywa, poniża, zrównuje z ziemią. Za bardzo mi była bliska, zbyt wiele dla mnie znaczyła...

Tego dnia nie odbyły się jej urodziny, a ja miałem do siebie żal, że to przeze mnie.

W progu domu popchnął mnie, a ja upadłem i uderzyłem głową o marmurową, błyszczącą posadzkę w jasnym, pięknym holu willi, w której przyszło mi mieszkać. Jego wrzask rozniósł się po całym domu, a z salonu wybiegła ona. Pamiętam: miała na sobie kremową sukienkę, na stopach szpilki i włosy upięte w kok. Była piękna jak na swój wiek i zadbana, lecz stale smutna.

— Kendall! — krzyknęła przerażona, podbiegając do męża. Leżałem na podłodze i patrzyłem na to, co zaczęło się dziać.

Uderzył ją, tak mocno, że upadła na podłogę tuż obok mnie. Objęła mnie ramieniem i pocałowała w policzek, a następnie próbowała się podnieść i załagodzić sytuację. Wyszepiała mi wtedy do ucha, że bardzo mnie kocha.

— Ty szmato! — krzyknął, po czym uderzył ją raz jeszcze. Przytrzymał za ramiona, by nie mogła uciec, i walił pięścią w jej ciało, kalecząc jej delikatną skórę. Zadawał jej cios za ciosem.

Siedziałem na podłodze i patrzyłem na to, co jej robił. Czułem rosnącą nienawiść i pragnąłem jego śmierci. Miałem dosyć tego, jak przez

te wszystkie lata ją katował, bił i poniewierał. Miałem dosyć tego, jak bił mnie... Bił, dotykał, gwałcił. Był złym człowiekiem — to psychol i popierdolony skurwysyn, a ja nie mogłem już dłużej patrzeć na to, co serwował nam każdego dnia.

Wstałem z podłogi, przetrąłem dłonią zapłakaną twarz i pobiegłem do kuchni po nóż. Nie wiem, jak to zrobiłem, nie wiem, skąd wzięłem tyle siły w sobie. Rzuciłem się na niego, zadając mu serię ciosów. Raniłem go i wrzeszczałem. Cios za ciosem, krzyk i mnóstwo krwi...

Oto ja, Shade Brewer, a oto moja historia...

Rozdział 1

Nie pamiętam nic z tamtego wieczoru. A już na pewno nie to, jak go zaatakowałem nożem. Ocknąłem się dopiero w momencie, kiedy usłyszałem przeraźliwy krzyk Carren. Klęczała w kałuży krwi tuż obok mnie i leżącego na plecach martwego Kendalla. Siedziałem na jego nogach okrakiem, a w ręce trzymałem duży kuchenny nóż.

— Shade, dziecko, co ty zrobisz?! — zawołała, trzęsąc się z przerażenia.

Spojrzałem na trupa, na rany w jego ciele, na swoje zabrudzone krwią dłonie, ubrania, podłogę, w końcu na jej twarz. Zasłaniała ręką usta, przeraźliwie płacząc.

Była pobita, a z jej łuku brwiowego sączyła się krew. A przecież wreszcie stała się wolna. Wypuściłem z dłoni nóż i w tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem.

Zabiłem człowieka.

Nie! To nie był człowiek — to był tyran, gwałcień, zwyrodnialec, bandyta i kat.

Mimo wszystko zabiłem go, zabiłem. Ale... Poczuję się wolny, lekki jak piórko i w końcu szczęśliwy. Szczęśliwy i spokojny o to, że jego ciężka ręka nigdy już nikogo nie dotknie, że jego oddech i usta nigdy nie spotkają się z niczyją twarzą, że on już nigdy nikomu nie zagrozi, nie skrzywdzi nikogo, nie wykorzysta ani nie zgwałci. Spojrzałem raz jeszcze na swoje drżące, całe w krwi dłonie, po czym przewróciłem się na marmurową, pokrytą krwią podłogę, tuż obok trupa. Leżałem w jego krwi i płakałem. Płakałem jak małe dziecko. Płakałem jak wtedy, kiedy po raz pierwszy mnie dotknął, wykorzystał, zgwałcił, a potem jeszcze pobił. W tamtym momencie powróciły do mnie wszystkie złe wspomnienia z mojego życia.

Nie oszukujmy się — nie miałem w życiu dobrych chwil, bo od samego poczęcia byłem skazany na porażkę. Zaczęłem się dławić własnymi łzami, lecz byłem sparaliżowany i nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Nie miałem siły wstać, nie miałem już siły żyć. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Było mi naprawdę wszystko jedno, gdzie wyląduję tym razem i jak potoczy się moje życie.

Słyszałem tylko głośny szloch Carren, a potem poczułem jej ciało blisko mnie. Podczołgała się do mnie i ułożyła na swoich kolanach moją zakrwawioną głowę. Pochyliła się nade mną i pocałowała w brudny z krwi policzek. Przytuliła mnie i wyszeptwała:

— Kocham cię, Shade...

Te słowa mnie zabolowały. Zabolowały do tego stopnia, że zacisnąłem dłonie w pięści, a moim ciałem wstrząsnął mocny dreszcz. Własna rodzona matka mnie wyjebała jak śmiecia na ulicę, mając kompletnie w dupie, co się ze mną stanie. Obca mi kobieta pokochała mnie pomimo mojej inności, pomimo tego, kim byłem, skąd pochodziłem, jaka była moja przeszłość. Czułem jej dłonie we włosach i szybkie bicie serca. Zamknąłem oczy, uśmiechnąłem się, a potem spojrzałem na jej zapłakaną twarz i wyszeptalem:

— Już nigdy cię nie skrzywdzi, Carren, już nigdy...

Uspokoilem się, uspokoilem i pogodziłem z tym, że moje życie zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni. Na gorsze oczywiście.

„Mama” pomogła mi wstać, zaprowadziła do salonu, do pięknie przystrojonego stołu gotowego na uroczystą kolację. Kolację urodzinową, którą mieliśmy wspólnie zjeść i w jej trakcie cieszyć się wraz z Carren z prezentu, jaki dla niej wybraliśmy. Prezent dostała, i to porządny... Zabiłem jej męża. Chciałem coś powiedzieć, ale mnie uprzedziła.

— Nic nie mów, skarbie, nic nie mów. Ja wszystko załatwię. Wszystko będzie dobrze, Shade.

Byłem już obojętny na to, co miało się wydarzyć za chwilę.

Siedziałem na kanapie okryty kocem, kiedy przyjechała policja. Zadawali jej mnóstwo pytań, a potem mnie. Nie odpowiedziałem na żadne, nie potrafiłem wydusić z siebie ani jednego słowa. Patrzyłem nieobecny przed siebie, wyobrażając sobie siebie za kratami więzienia. To miała być moja przyszłość.

Zanim zabrali mnie na komisariat, Carren złapała mnie za rękę i poprowadziła na górę do łazienki, nalała wody do wanny, a następnie pomogła mi się rozebrać. Przez cały czas towarzyszył nam policjant, który bacznie się mi przyglądał, a także mojej „matce”. Kiedy zdjęła ze mnie spodnie i podkoszulek, a jej oczom ukazały się fioletowe siniaki, zawyla z rozpaczy, osłaniając dłonią usta.

— Kto ci to zrobił? — zapytał policjant, lecz go kompletnie zignorowałem.

Wszedłem do wanny wypełnionej gorącą wodą z moim ulubionym płynem do kąpieli. Carren uprosiła policjanta, bym mógł zostać sam i się spokojnie umyć. Zgodził się. Wyszli, a kiedy zamknęły się drzwi od łazienki, wybuchłem cichym płaczem. Oparłem głowę o białą powłokę wanny i płakałem. Próbowałem zapamiętać tę ostatnią kąpiel, ten dom i ją, „matkę”. O nim pamiętać nie chciałem, podobnie jak o tym wszystkim, czego doświadczyłem z jego ręki. Zamknąłem powieki i chyba na moment usnąłem — byłem kompletnie wykończony. Ocknąłem się w momencie, kiedy do łazienki wszedł funkcjonariusz i oschłym tonem powiedział, że mam się pośpieszyć.

Ubrałem się, przetrąłem dłońmi wilgotne włosy, po czym wyszedłem z domu w eskorcie policji. Przechodząc przez hol, mimowolnie spojrzałem na Kendalla. Zebrało się wokół niego mnóstwo ludzi: robili mu zdjęcia, zabezpieczali miejsce morderstwa.

Carren pojechała ze mną i choć tego nie chciałem, ona uparła się, że mnie nie zostawi. Zważywszy na moje siniaki na ciele i jej rozcięty łuk brwiowy, najpierw udaliśmy się do szpitala na badania. Lekarze oglądali mnie z każdej strony, zadając mi masę pytań, na które i tak nie miałem zamiaru odpowiadać. Zamknąłem się w sobie i choćbym chciał, nie byłem w stanie mówić. W głowie miałem chaos, a moje myśli wciąż krążyły wokół tego, co ten chuj robił mnie i jej przez ostatnie cztery lata.

Ze szpitala pojechaliśmy na komisariat i tam dopiero zaczęła się jazda, kiedy nie odpowiedziałem na żadne zadane mi pytanie. Siedziałem wyprostowany na drewnianym krześle i patrzyłem tępym wzrokiem na policjanta, który mnie przesłuchiwał. Oczywiście był z nami psycholog, który po kilkunastu godzinach bezsensownych prób nakłonienia mnie do zeznań stwierdził, że potrzebuje czasu, by do mnie dotrzeć. Noc spędziłem w zimnej celi, na twardej pryczy, bez koca ani poduszki. Nie spałem, nie mogłem. Siedziałem skulony w kącie przy samej ścianie

i obejmując kolana ramionami, płakałem. Miałem zaledwie piętnaście lat, byłem dzieckiem...

Do momentu rozprawy nie widziałem się z Carren. Umieścili mnie w szpitalu dla czubków, gdzie robili na mnie doświadczenia jak na pieprzonym króliku. Codziennie przychodzili coraz to inni lekarze i zadawali masę pytań. Podłączyli mnie do jakiejś dziwnej aparatury. Po dziesięciu dniach spędzonych w psychiatryku zacząłem mówić. Otworzyłem się przed lekarzem i powiedziałem wszystko. Opowiadałem mu, jak wyglądało moje życie w domu Kendalla, jak mnie traktowali, wszystko. Kiedy doszedłem do części dla mnie mniej przyjemnej, z moich oczu ciurkiem leciały łzy. Paliło mnie gardło, bo słowa, które wychodziły z moich ust, sprawiały mi ból. Opowiedziałem, jak po raz pierwszy podniósł na mnie rękę, jak bił i wyzywał Carren, jak złamał jej rękę, a potem przeproszał. Mówiłem o tym, jak zachowywał się wśród obcych i że udawał przed nimi kochającego męża i ojca. Najwięcej bólu sprawiło mi, kiedy mówiłem o sprawach intymnych. O tym, jak po raz pierwszy mnie dotknął, a potem zgwałcił. Robił to często i często bił. Zastraszał mnie i katował. Mówił, że jestem nikim i zginę bez niego jak szczur. Mówił mi okropne rzeczy, a następnego dnia, kiedy trzeźwił, obsypywał mnie prezentami. W jednym momencie wspomnienia powróciły do mnie jak bumerang. Wspomnienia i przykre chwile, o których chciałem zapomnieć, wyprzeć je ze świadomości, o których nie chciałem pamiętać... Ale nie da się tego zapomnieć, nigdy.

Czy poczułem się lepiej, gdy już wyrzuciłem to wszystko z siebie? Nie wiem, chyba tak, choć nie na długo mi to pomogło...

Kiedy nadszedł dzień rozprawy, a na sali spostrzegłem Carren, uśmiechnąłem się szeroko. Wyglądała na... spokojną, wypoczętą, a jej twarz nabrała kolorów. Była piękna. Podeszła do mnie, ucałowała, przytuliła i zapewniła, że wszystko będzie dobrze. Wynajęła mi najlepszego adwokata, który przekonywał mnie, że zostanę potraktowany ulgowo. Miał rację. Ponieważ udowodniono, że Kendall się nad nami znęcał i wykorzystywał seksualnie, sąd orzekł, że działałem pod wpływem impulsu, a dokonując swojego czynu, nie byłem do końca poczytalny. Zatem umieszczono mnie w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym do ukończenia osiemnastego roku życia.

Uliżyło mi, kiedy usłyszałem wyrok, ale i kompletnie się załamałem. To oznaczało rozstanie z Carren. Czekало mnie nowe otoczenie,

nowi ludzie, nowe obowiązki, inne życie, inny świat. Świat pełen nastolatków takich jak ja. Zdemoralizowanych, zapomnianych przez wszystkich, przyszłych bandziorów i przestępców bez perspektyw.

Carren podeszła do mnie, spojrzała mi w oczy i widziałem, że powstrzymywała łzy.

— Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Uwolniłeś nas od niego, ale teraz za to zapłacisz. Chcę jednak, byś wiedział, że ja cię nie zostawię, nie zapomnę o tobie. Zawsze możesz na mnie liczyć. — Ujęła w dłonie moją twarz i ucałowała mnie w czoło.

Chciałem ją przytulić, powiedzieć, że jest mi bliska, najlepsza i że ją kocham, lecz nie potrafiłem. Byłem popierdolony — jestem popierdolony i już zawsze tak pozostanie. Uśmiechnąłem się tylko, a następnie poszedłem za funkcjonariuszem, który machnął na mnie ręką. Obróciłem się przy drzwiach, by jeszcze raz na nią spojrzeć, i wyszedłem z sali sądowej.

Prosto z sądu zawieźli mnie do placówki, w której miałem spędzić najbliższe lata swojego marnego, szarego życia. Po plecach przeszły mi zimne dreszcze, kiedy stanąłem przed ogromnym budynkiem.

— Bądź posłuszny, ucz się pilnie i nie rozrabiaj, to wyjdiesz na ludzi — powiedział do mnie policjant, zanim ze środka wyszedł dyrektor obiektu.

Był to wielki czarnoskóry, łysy facet po pięćdziesiątce. Nie wyglądał groźnie na pierwszy rzut oka, lecz kiedy do mnie przemówił, przeszły mnie ciary. Oprowadził mnie po ośrodku, wytłumaczył, na czym będzie polegała moja resocjalizacja, zaprowadził do pokoju, który miałem dzielić z pięcioma innymi chłopakami.

Pokój był duży i stało w nim sześć łóżek ustawionych blisko siebie. Pustą przestrzeń pomiędzy nimi zajmowały małe szafki nocne. W pokoju było też sześć niewielkich szaf na ubrania i duży stół z sześcioma krzesłami. Ogólnie pokój jak pokój. Ściany w kolorach szarości i delikatnych brązów pasowały do mojego stylu.

— Tu będziesz spał, a tu są twoje rzeczy i twoja szafa, którą możesz zająć. Sprzęt elektroniczny trzymaj w szafce na kluczyk. — Palcem wskazał na łóżko, potem na szafę i małą szafeczkę z zamkiem.

Zdziwiło mnie to — przecież nie miałem żadnych elektronicznych urządzeń, bo wszystko zostało w domu u Carren. Już chciałem się odezwać, kiedy mnie uprzedził.

— Twoja opiekunka zapewniła ci wszystko, co potrzeba. Paczka ma przyjść jeszcze dziś. Jeśli chodzi o odwiedzin, to...

— Nie przewiduję, by ktoś mnie odwiedzał — przerwałem mężczyźnie, wzruszając ramionami.

— Zapoznaj się z panującymi tu zasadami, a potem przyjdź do mojego gabinetu na końcu korytarza. Spróbuj się dogadać z chłopakami, z którymi będziesz mieszkał, i nie wdawaj się w żadne bójki, to będzie dobrze. Nie wierz i nie ufaj nikomu. Jesteś bardzo młodym człowiekiem i znam twoją historię. Źle trafiłeś, ale to jeszcze nie powód, by zmarnować swoje życie...

Całe życie źle trafiałem i całe moje życie było gówniane, no może poza miłością Carren.

Kiedy dyrektor opuścił mój pokój, a ja usiadłem na łóżku, chowając twarz w dłoniach, z moich oczu popłynęła samotna łza. W jednej chwili poczułem się mały, bezbronny, nic niewart.

Rozdział 2

Życie w ośrodku wśród setki innych równie mało wartych ludzi jak ja nie należało do łatwych. Pierwsze dni były dla mnie przerażające, a ja nie potrafiłem się odnaleźć. W pokoju mieszkalem z pięcioma chłopakami o pięciu różnych charakterach. Mieli różne poglądy na świat, różne podejścia do życia. Trzech z nich skończyło siedemnaście lat, a dwóch było mniej więcej w moim wieku. Odizolowałem się od nich, przez co nie miałem łatwego życia. Kiedy po raz pierwszy ich zobaczyłem, jak weszli po zajęciach lekcyjnych do pokoju, stanąłem jak oniemiały. Nie czułem się jak w domu poprawczym, czułem się jak w najgorszym kryminale, jakie wcześniej często widywałem w programach telewizyjnych. Wyglądali jak bandziory. Z twarzy wyzierało im tylko jedno. Nienawiść.

Gdy weszli do pokoju, siedziałem na swoim łóżku. Stanęli w rzędzie i z założonymi na piersiach rękoma przyglądali mi się z uwagą. Akurat robiłem coś na laptopie, który dostałem od Carren. Uniosłem na nich wzrok, po czym odłożyłem urządzenie obok siebie na materac. Wstałem, poprawiłem czarną bluzę, przeczesalem dłońmi włosy i czekałem na ich reakcję.

— To ten nowy, o którym mówił Logan — odezwał się ciemny blondyn, najniższy z całej piątki. Miał na sobie podkoszulek z krótkim rękawem, a na rękach kolorowe tatuaże. Były... zachwycające. Wyglądał na młodzika, ale jak się potem okazało, miał siedemnaście lat i przebywał tu od czternastego roku życia.

— Jak ci na imię?! — warknął wysoki szatyn.

Odchrząknąłem.

— Shade. Mam na imię Shade.

Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować. Nie lubiłem towarzysztwa innych, nie lubiłem nowych, niezręcznych sytuacji, nie lubiłem zawiązywać znajomości. Jedyne, co lubiłem, to samotność i wirtualny świat.

— Patrzenie go, jaki elegancik z dobrego domu — odezwał się inny chłopak, którego wyraz twarzy od początku mi się nie podobał. Był wysoki, ale okropnie chudy. Miał szarą twarz, a policzki zapadnięte. Wyglądał jak chodząca śmierć. — Bogacz się nam trafił.

Zagwizdał, podchodząc do mnie. Był ode mnie wyższy. Uniosłem głowę, by spojrzeć mu w oczy. Mierzył mnie wzrokiem. Zawistnym, wrogim, nieprzyjemnym. Patrzył na moje ubranie, buty. Pochylił się w stronę łóżka, po czym chwycił za laptopa.

— Drogi sprzączek... Coś ty za jeden?

Wyrwałem z jego rąk przenośny komputer, zamknąłem klapę i przytuliłem laptopa do piersi, mordując chłopaka wzrokiem.

— To delikatna rzecz, nie dotykaj! — powiedziałem.

Chuderlak parsknął śmiechem i obrócił się do stojących za nim kolegów, którzy bacznie mi się przyglądali.

— Już się stawia i chyba chce dostać wpięrdol na sam start pobytu w naszym świecie.

Po tych słowach obrócił się w moją stronę, a następnie chwycił mnie za bluzę i zaczął mną potrząsać. Jednak wtedy do pokoju wszedł dyrektor Logan i widząc, co się dzieje, momentalnie zareagował.

— Andy! Uspokój się albo pozbawię cię wszystkich przywilejów!

Chłopak prychnął na słowa czarnoskórego mężczyzny, lecz mnie puścił. Obrócił się do Logana twarzą i obojętnie powiedział:

— Przywileje... Kurwa, dobre sobie. Jak jesteś biedny, to możesz co najwyżej w ping-ponga jebnąć na sali.

— Nie drażnij mnie i zachowuj się jak należy, bo do wyjścia niewiele ci zostało. A przypominam, że to ode mnie zależy, czy wyjdiesz stąd, czy trafisz do więzienia, a tam już nie jest tak kolorowo jak tu!

— Spojrzył w moją stronę, poprawił kołnierzyk bordowej koszuli i dodał:

— To Shade Brewer i od dziś będzie dzielił z wami pokój. Nie chcę żadnych problemów. Rozumiecie?!

Zapadła cisza, niezręczna cisza.

— Pytam, czy rozumiecie?!

— Taaa... — odpowiedzieli wszyscy oprócz tego całego Andy'ego.

— Ciebie to też dotyczy! — krzyknął w twarz chłopaka, który miał wzrok utkwiony we mnie.

Już wiedziałem, że życie w tym ośrodku w jednym pokoju z tym chłopakiem będzie dla mnie ciekawe.

— Jasne, szefie — wymamrotał, podszedł do jednego z łóżek stojących w szeregu pod ścianą i się na nim położył.

— Nie chcę problemów i ostrzegam was! — dodał dyrektor na koniec, a następnie zwrócił się do mnie: — Ty też nie myśl sobie, że będziesz miał taryfę ulgową. Masz przestrzegać panujących tu zasad i robić wszystko, by czas spędzony w tym miejscu czegoś cię nauczył.

Kiedy zostaliśmy sami w pokoju, chłopaki zajęli się sobą, kompletnie nie zwracając na mnie uwagi. Jedyną osobą, która zabijała mnie wzrokiem, był chuderlawy Andy. Po wyjściu dyrektora zerwał się z łóżka i podbiegł do mnie.

— Uważaj na mnie, paniczyku, i radzę ci nie zasypiać.

Śmieszyło mnie jego zachowanie i zamierzałem go całkowicie lekceważyć. Obróciłem się na pięcie i położyłem laptopa na łóżku, kiedy jego dłoń dotknęła mojego ramienia.

— Mówię do ciebie! — Bardzo chciałem go olać i zostawić to bez komentarza. Chwyciłem go za chudą dłoń, wykręciłem ją i z uśmiechem na ustach wyszeptalem:

— Nie mogę się doczekać.

* * *

Po kolacji na stołówce wraz z moimi nowymi współlokatorami miałem dyżur. Sarta brudnych garów, resztki niedojedzonego jedzenia i smród. Robiłem swoje i nie zwracałem uwagi na pozostałych, lecz coś mi nie dawało spokoju. Czułem się dość dziwnie i niezręcznie, jakby ktoś mnie obserwował. To był ten młokos z mnóstwem tatuaży na ciele. Dziwnie na mnie patrzył, co doprowadzało mnie do szału. Czułem się niezręcznie, nienawidziłem się tak czuć. Kiedy po skończonej pracy szliśmy do naszych pokoi, zaczepił mnie tuż przy drzwiach.

— Jestem Joe — przedstawił się, wyciągając w moim kierunku dłoń. Chciałem go zlekceważyć, lecz zagroził mi wejście do pokoju. Westchnąłem głośno, po czym podałem mu dłoń i od niechcienia ją uściśnąłem. Przynął się do mnie i na ucho wyszeptał:

— Andym się nie przejmuj, ale go nie prowokuj. Jest zaborczy i nie panuje nad sobą.

Nie skomentowałem jego słów, precyzyjnie się obok i wszedłem do pokoju.

Pierwsza noc była dla mnie koszmar, nie mogłem zmrużyć oka. Próbowaliśmy zasnąć, nie myśleć, a przede wszystkim nie bać się nowego miejsca, otoczenia i tych wszystkich sztywnych zasad panujących w ośrodku. Kręciłem się po całym łóżku, a w środku czułem dziwny lęk. Tamtej nocy zdałem sobie sprawę, że zniszczyłem sobie życie. Walczyłem ze sobą i z natarczywymi myślami, aż w końcu usnąłem.

— *Syneczku, nie bój się, to normalne... — wyszeptał do mojego ucha, kładąc się obok mnie na materacu.*

Nie mogłem wydusić z siebie słowa, a moje ciało było sparaliżowane. Śmierdział alkoholem i papierosami. Dłoń położył na moim brzuchu i docisnął mnie do siebie, na co aż zawyłem z przerażenia. Zdenerwował się, że się boję, i zakrył mi dłonią usta, po czym warknął:

— *Zamknij mordę, gówniarzu, bo cię zapierdołę. Oboje z matką jesteście gówno warci.*

Nienawidziłem jego dotyku oraz zapachu. Za każdym razem, kiedy do mnie przychodził i to robił, rozpadałem się na małe kawałeczki i traciłem do siebie szacunek. Czułem się jak śmieć, szmata, męska dziwka. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale podniosłem się z łóżka, stanąłem przed nim i zacząłem krzyczeć. Nagle poczułem ostry, przeszywający ból w okolicy brzucha, by za moment czuć, jak wyrывa mi włosy. Złapał mnie za głowę i na zmianę szarpał za włosy i bił. Krzyczałem, płakałem i błagałem, by przestał, lecz on był głuchy na moje krzyki, prosby i błagania.

— *Kendall!* — *Usłyszałem i spojrzałem tam, skąd dochodził głos. To była Carren. Stała w progu pokoju w koszuli nocnej i krzyczała na „ojca”, by nie robił mi krzywdy. Puścił mnie, pchnął na podłogę, a na koniec kopnął w zębra. Zachwiał się, podszedł do Carren i mocno ją spoliczkował, a za chwilę zaczął szarpać. Leżałem na podłodze obolały, zniszczony, cały we łzach i patrzyłem, jak ją okłada. Patrzyłem, jak ją bije, wyzywa i niszczy. Nie miałem siły wstać, nie miałem odwagi, by ponownie się mu przeciwstawić.*

Obudziłem się zlany potem, ciężko dysząc. Nie mogłem złapać oddechu, a ciało przeszywały mi zimne, wręcz lodowate dreszcze. Uniosłem się do pozycji siedzącej, schowałem twarz w dłoniach. Oddychałem głośno i szybko, próbując się uspokoić. Znowu to samo, znowu te cholerne

koszmary. Byłem bezradny i czułem się jak mały chłopiec. Ten sam chłopiec, który był wykorzystywany przez potwora.

— Jesteś śmieciem... — wyszeptałem do siebie.

Usłyszałem za sobą głośny oddech, więc odwróciłem wzrok w kierunku śpiących chłopaków. Wszyscy spali, poza Joem. Blask księżyca wpadał przez okno do pokoju i oświetlał nasze twarze. On widział mnie, ja jego. Leżał nieruchomo i patrzył na mnie. Nic nie mówił, tylko patrzył. Czułem potworny wstyd, bo właśnie okazałem, że jestem słaby. Joe nie skomentował tego, nie powiedział nic. Po prostu zamknął oczy i odwrócił się do mnie plecami. Siedziałem w bezruchu jeszcze dłuższą chwilę, bojąc się usnąć, by ponownie nie wybuchnąć krzykiem.

„Dlaczego mi to robisz?” — pytałem bezgłośnie, unosząc głowę. Patrzyłem w sufit i nie wiem, na co czekałem, bo przecież nie na odzew Boga. On nie istniał w moim życiu.

Rano podczas śniadania Joe podszedł do mnie, trącił mnie tacą z jedzeniem w bok i wyszeptał:

— Spoko, przyzwyczaisz się.

* * *

W ośrodku nie dało się nudzić. Rano śniadanie, potem zajęcia w szkole, obiad, spotkania z psychologami na zajęciach grupowych (czego nie-nawidziłem), późnym popołudniem wykonywaliśmy drobne prace w ośrodku bądź poza nim. Oczywiście mnie to nie dotyczyło, gdyż byłem nowy i dyrektor bał się, że ucieknę. Wieczorem kolacja, sprzątanie i czas dla siebie do dwudziestej drugiej. Wtedy mogliśmy się trochę zrelaksować, odpocząć, pograć w planszówki, iść na siłownię, którą mieliśmy w ośrodku. Ja zawsze się izolowałem i za każdym razem uciekałem z laptopem do mojego wirtualnego świata. Kochałem ten świat i to, co mogłem w nim znaleźć.

— Idziesz na siłownię? — zapytał Joe, siadając na brzegu mojego łóżka, kiedy buszowałem w internecie i programowałem. Tylko na niego spojrzałem, po czym wróciłem do swojego zajęcia. Nie odpuścił i nadal drążył temat, co przykuło uwagę pozostałych chłopaków w pokoju, w tym Andy’ego.

— Daj mi spokój! — warknąłem.

Byłem nieuprzejmy, ale tak już miałem i nie potrafiłem inaczej. Nie potrzebowałem przyjaciół, znajomych ani kolegów. Nie potrzebowałem nikogo, nawet Carren odsyłałem, kiedy przychodziła w odwiedziny. Nie wiem, czemu tak robiłem, ale inaczej nie umiałem. Byłem zwykłym chujem. Kobieta dawała mi pieniądze, zasilala moje konto, by mi niczego nie zabrakło, starała się, ubierała mnie, robiła prezenty, odwiedzała, płakała, mówiła, że za mną tęskni i mnie kocha, lecz ja, pokonany i nic niewart, nie potrafiłem powiedzieć jej tego samego. Zawsze wychodziła ode mnie z płaczem, a ja czułem się za każdym razem jak szmaciarz. Kochałem ją, kochałem, lecz byłem tak popierdolony, że jedyne, co robiłem dobrze, to raniłem innych. Z chłopakami, z którymi przyszło mi mieszkać, także miałem kose, a stosunki pomiędzy nami były bardzo napięte. Wyzywali mnie, dokuczali i robili mi na złość, kiedy spałem, by mnie rozwścieczyć. Olewałem ich, olewałem, ile mogłem, i starałem się zachować spokój. Tylko Joe był okej i za każdym razem mnie bronił (choć tak naprawdę nie wiedziałem czemu).

— Chodź na siłownię. Poćwiczysz trochę, nabierzesz masy i lepiej się poczujesz — przekonywał mnie za każdym razem.

— To nie dla mnie — zbywałem go, mając nadzieję, że i tym razem odpuści. Myliłem się.

— Wymęczysz się, zapomnisz, a przede wszystkim zajmiesz czymś łeb, by nie myśleć. Może prześpisz noc bez koszmarów.

To mnie ruszyło. Czyli każdej nocy słyszał mój płacz i widział paralizujący mnie strach. Wiedział, że coś mnie gnębi. Każdego z nas coś gnębiło, bo za darmo się nie trafia do ośrodka, ale on był... inny, uparty, trochę podobny do mnie. Spojrzałem na niego, westchnąłem głośno, a w końcu odłożyłem laptopa i wstałem z materaca. Przeczesałem dłonią włosy i kiwnąłem na niego głową.

Miał rację, miał całkowitą rację, że wyładuję negatywne emocje i choć przez moment nie będę się zadrećczał, nie będę się o nic oskarżał, nie będę analizował.

Joe pokazał mi, jak mam trenować, i instruował, co robić. Spodobało mi się to. Do tego stopnia, że siłownia stała się moją kolejną pasją i pozwalała przesypiać noce bez koszmarów i strachu. Można powiedzieć, że zaprzyjaźniłem się z Joem. Ćwiczyliśmy codziennie. Joe opowiedział mi o sobie i swoim życiu, lecz ja nie potrafiłem całkowicie się otworzyć. Nie czułem się na to gotowy i potrzebowałem czasu.

Joe miał takie jak ja pasje: siłownia i komputery. Dodatkowo kręciły go tatuaże i za każdym razem, jak wychodził z ośrodka na jakieś dodatkowe roboty, wracał z kolejnym szlaczkiem na ciele. Sam też miał ogromny talent i potrafił tatuować, ale odkąd dyrektor przyłapał go na tatuowaniu innych w ośrodku, zabrał mu ręcznie zrobioną maszynkę i pozbawił największej radości. W pewnym stopniu Joe zaczął mi imponować i sam chciałem zrobić sobie dziarę, lecz w ośrodku nie miałem jak. Joe obiecał mi, że gdy wyjdzie na wolność, znajdzie jakieś lokum i pracę, to napisze do mnie list, a kiedy ja wyjdę, spotkamy się i on zrobi mi tatuaż.

Byliśmy podobni, a jednak różni. On także wychował się w domu dziecka, tylko że jego nikt nie chciał adoptować. Od zawsze był nicponiem i stwarzał problemy, w przeciwieństwie do mnie, bo ja byłem zwykle cichy i wycofany, uciekałem od kłopotów. Trafił do ośrodka za liczne włamania i kradzieże, a także bójki i handel używkami. Kiedyś zapytałem go, co planuje po wyjściu na wolność. Odpowiedział, że spróbuje jakoś żyć i się ustatkować, lecz nie bardzo wiedział, czy mu się uda, bo ośrodek zapewniał marne środki na start. Ja miałem trochę lżej niż on, bo Carren założyła mi konto i co miesiąc przelewała na nie spore sumy, bym kiedyś mógł się usamodzielnić. Kiedy Joe zapytał, co zamierzam po wyjściu, nie odpowiedziałem mu... Nie wiedziałem, co mu powiedzieć.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

POKONANY? CZASEM TAK. ZŁAMANY? NIGDY!


Shade, czyli cień. Nie wszyscy wierzą w magię imion, ale Shade Brewer czuje, że to, które nadano mu w dzieciństwie, nazaczyło jego życie. Mrokiem, smutkiem. Cieniem. Znalezionej jako niemowlę na śmietniku, tułający się od jednej rodziny zastępczej do drugiej, wszędzie zamiast miłości napotykał nienawiść. Nierozumiany i odrzucany, stroniący od ludzi, w dorosłe życie wkracza jako zabójca. Tylko przyjaźń potrafi na moment rozproszyć mrok spowijający myśl Shade'a. Joe, poznany w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym (wbrew nazwie niewiele mającym wspólnego z wychowaniem i opieką), jest jedynym człowiekiem, na którego Shade może liczyć. To właśnie Joe odprowadza przyjaciela do ośrodka odwykowego, kiedy ten podejmuje decyzję o rozpoczęciu terapii.

Czy tym razem cienie, między którymi kroczy Shade Brewer, w końcu się rozproszą? Czy w jego sercu zagoszczą miłość, spokój i szczęście — czy skończy pokonany? Jedno można powiedzieć na pewno: łatwo nie będzie, bo w życiu Shade'a nic nie jest proste...

Patroni medialni:



 **editio red**

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowości>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:
ebookpoint



ISBN 978-83-283-7542-0



9 788328 375420

Cena 39,90 zł